

MANEWR GOSPODARCZY

**Stożki w Ustroniu * Grześ w Liceum Plastycznym * Drezno - Berlin *
Szkoła Brzącowice * Wczasy w Augustowie * Polski papież**

Po niespełna dwóch latach pracy F. Cedrowski, kierownik pracowni PW-2, zrezygnował z pracy w KBPBBO. Dyrektor biura zaproponował mi, bym z powrotem objął tę funkcję, którą zresztą sprawowałem przedtem przez 9 lat. Ukończyłem już prace projektowe, związane z budową I-szego etapu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej, i aktualnie nie opracowywałem żadnego większego tematu. Zgodziłem się więc i znów od lutego 1977 r. w ramach $\frac{3}{4}$ etatu kierowałem pracownią, zaś w $\frac{1}{4}$ etatu prowadziłem własny architektoniczny zespół projektowy. Pracownia nadal miała w miarę „pełne ręce” roboty, choć zleceń inwestorskich było wyraźnie mniej niż w poprzednich sześciu latach. Zmieniła się też nieco problematyka prac projektowych w pracowni. Dominowały wytwórnie prefabrykatów wielkopłytowych, osiedla i budynki mieszkalne oraz pawilony handlowe.

W marcu 1977 r. znów pojechalśmy na dwutygodniowe, rodzinne wczasy, tym razem do Ustronia Śląskiego. Jest to kilkunastotysięczne miasteczko w Beskidzie Śląskim na trasie pomiędzy Skoczowem i Wisłą. Doskonały punkt wypadowy do zwiedzania całego regionu Beskidu Śląskiego od Cieszyna po Szczyrk. W pierwszym rzędzie zaczęliśmy od spacerów po samym Ustroniu, który w latach siedemdziesiątych bardzo się rozbudował. W ogóle do Ustronia jechaliśmy z Katowic autobusem nową, wielopasmową szosą typu autostrady, której budowę doprowadzono ówczesznie do rejonu Skoczowa, a która pomyślana była jako szybkie, wygodne połączenie aglomeracji śląskiej z Ustroniem, Wisłą i Szczyrkami. Te trzy miejscowości stawały się bowiem w dekadzie lat 70. zagłębiem wypoczynkowo-sanatoryjnym dla całego robotniczego Śląska.

W Ustroniu przybyły dwie nowe dzielnice Jaszowiec i Zawodzie, obie zabudowane dziesiątkami domów wypoczynkowych. W Jaszowcu, położonym w malowniczej dolinie rzeczki Jaszowiec, dopływu Wisły, chyba wszystkie ośrodki, na ogół nieduże i średniej wielkości, już funkcjonowały. Na nowszym Zawodziu pracujących domów wypoczynkowych było niewiele, kilka znajdowało się aktualnie w budowie, a na kilku roboty budowlane najwyraźniej zostały wstrzymane. Kilkanaście tych obiektów miało charakterystyczne kształty wielkich 10-piętrowych stożków. Zapewne realizowane były według powtarzalnej dokumentacji, ale różniły się balkonami, ślusarką, kolorystyką elewacji, parterami i standardem wykończenia.



Stożki sanatoryjne w Ustroniu-Zawodziu

W sumie poszczególne budynki prezentowały się bardzo okazale, podobnie jak i całe osiedle hotelowych stożków. Nastrój jego zwiedzania mąciła jednakże świadomość wstrzymania części budów. Było to wyraźnym rezultatem „przegrzania” inwestycyjnego, jakie w 1975-1976 latach zaistniało, zresztą w całej Polsce. Gospodarka kraju, a ściślej finanse państwa, nie były w stanie kontynuować tej lawiny inwestycji, jaką zbyt lekko-myślnie, bez dostatecznej kontroli, uruchomiono w poprzednich latach. Nie starczało środków budżetowych, ani pożyczek zagranicznych, zwłaszcza, że nadszedł już czas spłaty kilkumiliardowych pożyczek dolarowych, zaciągniętych w pierwszych latach sie-

demdziesiątych.

To też rząd wymyślił tak zwany „manewr gospodarczy”. Polegał on na zakazie rozpoczynania nowych inwestycji, wstrzymania niektórych mniej zaawansowanych i ważnych, oraz na koncentracji środków na kończeniu budów ważnych z punktu widzenia gospodarki narodowej. Hotelowe stożki w Ustroniu zakwalifikowane zostały najwidoczniej do tej drugiej kategorii i ich budowę „zawieszono na kołku” na kilka lat, a jak się później w praktyce okazało, faktycznie na lat kilkanaście. Podobny los spotkał też budowę gigantycznego 11-kondygnacyjowego szpitala-sanatorium w Zawodziu, który w tym czasie był zrealizowany w stanie surowym. Gdy byliśmy w Ustroniu, trwały przy nim już tylko pewne roboty zabezpieczające i wywózka maszyn budowlanych.

W ciągu pierwszego tygodnia naszego turnusu wczasowego w Beskidzie Śląskim była piękna, słoneczna pogoda, śnieg zalegał tylko na górskich szczytach. Wykorzystując tę pogodę, już w pierwszych dniach „zdobyliśmy” obie, zdobiące Ustron, ponad 900 metrowe góry - Równicę i Czantorię. Zwiedziliśmy także Cieszyn, Skoczów i Wisłę. W Cieszynie byłem już wcześniej, lecz moja rodzina po raz pierwszy mogła podziwiać to piękne, gospodarne miasto. Również Wisłę zwiedziłem kilkanaście lat wcześniej, ale od tego czasu miasto bardzo się rozrosło. Przybyło wiele nowoczesnych domów wypoczynkowych i sanatoryjnych, które wypełniły całe miasto i stoki otaczających je wzgórzy. Dojechalśmy autokarem aż do zapory energetycznej na jeziorze Czarniańskim, do którego wpływają Czarna i Biała Wiselka i z którego wpływa już jedna rzeka Wisła.

Niestety w połowie turnusu niespodziewanie wróciła zima w Beskid Śląski. W ciągu jednej nocy wszystko dokoła pokryła gruba śnieżna kołdra. Z tego też powodu nie udało się wycieczka do Szczyrku. Autokar dojechał jedynie do przełęczy przy Białym Krzyżu. Dalej z powodu zasp śnieżnych nie można było już jechać i zawróciliśmy do Ustronia. Zamieniliśmy wtedy plener na wizytę u naszych znajomych w DW „Dom Nauczyciela” w Jaszowcu.

Na Święta Wielkanocne 1977 r. po raz kolejny zaproszeni zostaliśmy przez moją siostrę Halinę do Wrocławia. Pojechalśmy również rodzinnie, w czwórkę. Przesiadając się na dworcu PKP w Katowicach, mieliśmy kilka godzin czasu, który wykorzystaliśmy na spacer po centrum miasta trasą od dworca do pomnika Powstańców Śląskich. Nieco dłużej zatrzymaliśmy się jedynie w wielkim nowoczesnym domu towarowym, oddanym niedawno do użytku.

Moja wrocławska rodzina nieco się powiększyła, gdyż Grażynce urodziła się mała Ania. Rzecz jasna kilkumiesięczne niemowlę było tematem rozmów wszystkich pań, więc odciągnęliśmy od tego żeńskiego grona mego szwagra i z nim pochodziliśmy po Wrocławiu. Po raz n-ty wałęsaliśmy się po Rynku Głównym, Ostrowie Tumskim, Świdnickiej, Parku Szczytnickim i ZOO. Ale akurat te fragmenty Wrocławia są tak urokliwe, że można je zwiedzać w nieskończoność, zawsze znajdując jakieś nowe, ciekawe miejsca. Tym razem podziwialiśmy, całkowicie już odnowioną, Katedrę Wrocławską z jej jasnymi wnęttrzami, oświetlonymi przez wielkie kolorowe witraże.

Po powrocie do Krakowa zastałem dwa nowe, nieduże zlecenia dla mnie. Jedno z nich dotyczyło opracowania projektu techniczno-roboczego na ogrodzenie terenu Ośrodka TV w Krakowie. Jest on zlokalizowany na szczycie Wzgórza „Krzemionki” i zajmuje dużą, około 8 ha działkę o obwodzie ponad 1000 metrów. Problemem było tylko to, że część działki leży na stromym stoku, a samo ogrodzenie przebiegało przez teren mocno zadrzewiony, krzewiasty, skalisty i przez place. Projekt zajął mi kilkanaście dni.

Drugie zlecenie dotyczyło wygoszparowania w jednym zbędnym pomieszczeniu montażowni dekoracji w Ośrodku TV na Krzemionkach niedużego studia telewizyjnego

dla emisji kameralnych programów m.in. „Kroniki Krakowskiej”. Chodziło przede wszystkim o sprawdzenie, czy odpowiednia adaptacja pomieszczenia w ogóle jest możliwa, zwłaszcza w aspekcie izolacji dźwiękowej, gdyż w pomieszczeniu były świetliki dachowe, a w niedalekim sąsiedztwie hałaśliwe warsztaty stolarskie. Dodatkowe trudności wiązały się z rozwiązaniem reflektorowego oświetlenia studyjnego i wystroju wnętrz. Projekt nie stanowił wszakże dla mnie większych problemów, bo po opracowaniu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Łęgu, mogłem uważać się za specjalistę w projektowaniu studiów telewizyjnych, a także hal zdjęciowych.

Za takiego specjalistę potraktowano mnie też najwidoczniej w KRiTV, gdzie zaproponowano mi opracowanie wielkiego centrum telewizyjnego w Lagos, stolicy Nigerii. Biuro Projektowe TV otrzymało bowiem zlecenie na projekt tegoż centrum i rozpoczęło opracowywanie założeń programowych na jego budowę, która zresztą także miała być realizowana przez stronę polską. Inwestycja ta jednak nie doszła do skutku z bardzo prostego powodu tamtejszego „przegrzania” inwestycyjnego.

Mianowicie władze państwowe republiki Nigerii zachłyszawszy się zwiększonym napływem, w pierwszej połowie lat 70-tych, miliardów petrodolarów, rozpoczęły iście gierkowski program inwestycyjny w swym kraju. Rychło jednak ujawniły się przeróżne bariery i trudności, związane z „przetrawieniem” nadmiernych inwestycji w tym zacofanym, acz bardzo ludnym państwie.

Np. z braku odpowiedniej infrastruktury portowej, na redzie w Lagos całymi miesiącami kotwiczyły dziesiątki statków z importowanym cementem, który po pewnym czasie do niczego się nie nadawał, a zapłacić za niego trzeba było. Więc po kilku latach takiego marnotrawstwa inwestycyjnego, braku kadr do eksploatacji nowych obiektów przemysłowych itp., władze gospodarcze Nigerii musiały ograniczyć swe inwestycyjne ambicje i bardziej starannie przyglądać się swoim petrodolarom. Z budowy wielkiego centrum TV więc tymczasem zrezygnowano.

Natomiast kontynuowano w Nigerii wielkie programy budowy zapór wodnych i hydroelektrowni rzecznych. I w tym zakresie nasze biuro projektowe, jako doświadczone już w eksportowych projektach do Iraku, otrzymało oferty na zatrudnienie specjalistów projektantów w tym państwie. Z mej pracowni wyjechali wtedy projektanci instalacji sanitarnych R. Flisowski i elektryk A. Schiller. Skończyła się więc moja z nimi współpraca przy wszystkich większych mych projektach. Obaj zrobili potem w Nigerii wielkie kariery. Rysiek został pełnomocnikiem rządowym dla spraw gospodarki wodnej, zaś Olek głównym projektantem systemu energetycznego całego państwa.

Pewnego majowego popołudnia, przechodząc ulicą Szewską w kierunku Rynku, zobaczyłem długi wąż młodzieży studenckiej, wchodzący i wychodzący z jednej z bram starej, zabytkowej kamienicy, po nieparzystej stronie ulicy. Według informacji, jaką uzyskałem, w klatce schodowej tegoż budynku dwa dni wcześniej został zamordowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa student Stanisław Pyjas. Był on współpracownikiem opozycyjnego Komitetu Obrony Robotników i to właśnie miało być przyczyną jego zabójstwa. Od tego czasu interesowałem się, czytałem i wysłuchiwałem wszelkie publikacje i enuncjacje, związane z tą sprawą.

Wcześniej denat nie był w ogóle szerzej znany. Pośmiertne publikacje w prasie podały, że jego zgon nastąpił w nocy na 7 maja, a powodem był upadek zmarłego, będącego w stanie nietrzeźwym, na schodach, znajdujących się w prześwicie, i zakrzuszenie się własną śliną, czy krwią. Prowadzone śledztwo nie potrafiło jednak jednoznacznie ustalić, gdzie przebywał i co robił denat krytycznego wieczoru, z kim się spotykał, o której godzinie wrócił do domu itp. Były jedynie wzmianki o jakimś lokalu restauracyjnym, zeznaniach dwóch kelnerów, że Pyjas w towarzystwie pił wódkę, ale generalnie

pisano o przeróżnych hipotezach, nie było konkretnych świadków, faktów, ustaleń.

Na okoliczność zakrzuszenia się śliną była robiona rutynowa obdukcja zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej, która hipotezę tę potwierdziła i stwierdziła wysoki promień alkoholu we krwi. Oczywiście została od razu zakwestionowana przez opozycję korowską. Wobec tego przeprowadzono powtórna, kolegialną obdukcję pod kierunkiem ordynatora, najlepszego specjalisty, która potwierdziła pierwotną diagnozę. Nie miało to jednak żadnego wpływu na przeświadczenie kręgów opozycyjnych, że Pyjas został z premedytacją zabity przez pracowników UB. Odbłyły się liczne msze żałobne, pochód z czarnymi flagami i ze świeczkami na cześć zmarłego, bojkot juwenaliów, rozpowszechniano ulotki i komunikaty, oskarżające władze państwowe itp. Wszystko to miało służyć utrwalaniu wiary o morderstwie. Funkcjonuje ona zresztą do dzisiaj.

W międzyczasie oskarżony o kłamstwo profesor AM, dokonujący obdukcji, wytoczył proces oskarżycielom, który oczywiście wygrał. Wznawiano dwukrotnie, już w latach 90-tych, śledztwa, gdyż Pyjas umieszczony został na liście koronnych ofiar PRL. Śledztwa te nic nie wykazały, ale pozostała pewność, że właściwe dowody zabójstwa znajdują się w tajnych aktach krakowskiego UB. Ostatecznie w 1996 r. zostały one jednak odtajnione i udostępnione komisji, wyznaczonej do badania zbrodni PRL. Od tego dopiero czasu zapadła całkowita cisza na temat jakichkolwiek materiałów dowodowych. Oczywiście niezłomna wiara, że student S. Pyjas został przez UB zamordowany, utrzymywana jest nadal przez wszystkich, którzy mają takie zapotrzebowanie.

W czerwcu 1977 r. Grzegorz ukończył ósmą klasę szkoły podstawowej. Na świadectwie miał same bardzo dobre oceny - duża satysfakcja także dla nas, rodziców. Już wcześniej, w maju, poczynił starania o przyjęcie go do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, które znajduje się zresztą ok. 300 metrów od miejsca naszego zamieszkania. Do podania o przyjęcie dołączył kilkanaście swych prac malarskich i rysunkowych, w tym wiele świetnych i oryginalnych. W ogóle w tym okresie czasu, również później, rysował bardzo dużo i namyślnie. Bywało, że wstawał rano skoro świt i udawał się w zielony plener lub zaufki Starówki krakowskiej, by narysować, czy namalować jakieś krajobrazy, fragmenty budynków zabytkowych itp. Po egzaminie rysunkowym dla kandydatów, przyjęty został do PLSP bez dodatkowych problemów, a także bez jakichkolwiek starań swych rodziców. Odpowiednią decyzję otrzymał jeszcze w czerwcu, więc czekały go spokojne, beztrudne, dobrze zasłużone, ferie letnie.

Natomiast Maciek ukończył drugi rok nauki w liceum, również z bardzo dobrym świadectwem, otrzymując 8 stopni bardzo dobrych, 4 dobre i jedno dostateczne z języka rosyjskiego.

Obaj synowie w lipcu 1977 r. znów, już po raz trzeci, zdecydowali się pojechać na letnie kolonie młodzieżowe w Nowym Targu. Mieli tam wiele zajęć ruchowych, kąpali się w Dunajcu. Grzegorz w kolonijnym turnieju szachowym zdobył I miejsce, a w turnieju tenisa stołowego II miejsce, pokwitowane ozdobnymi dyplomami.

Kolonie letnie naszych chłopców skończyły się 25 lipca, a już za cztery dni pojechalibyśmy całą rodziną na kolejną wycieczkę zagraniczną, tym razem do NRD. Była to siedmiodniowa wycieczka do Drezna i Berlina, zorganizowana przez Biuro Turystyki Młodzieżowej „Juventur”. Grupa wycieczkowa nie dysponowała autokarem, przejazdu do Drezna i Berlina, oraz z powrotem, odbyliśmy pociągami, zaś w obu tych miastach przemieszczaliśmy się środkami komunikacji miejskiej.

Z Krakowa wyjechalibyśmy pociągiem po południu 29 czerwca, na miejscu w Dreźnie byliśmy następnego dnia w godzinach wczesnorannych. W mieście tym byłem już trzy lata wcześniej. Wypadało mi więc znów zwiedzać te same muzea w centrum miasta, na

czele ze słynnym późnobarokowym zespołem pałacowym Zwinger, gdyż one są główną atrakcją turystyczną miasta. Lecz i tak, licząc łącznie, zobaczyłem tylko część tych



olbrzymich ilości obrazów, rzeźb i innych wytworów sztuki, jakie w owych muzeach są zgromadzone. Mych synów zainteresowały szczególnie zbiory zbroi, zwłaszcza rycerskiej. Podziwialiśmy też przebogate zbiory wyrobów ze szkła, kryształów i fajansów, prezentowane w odrębnym wielkim muzeum, którego zwiedzanie nie było objęte oficjalnym programem naszej wycieczki. Położone ono było kilka ulic dalej od Zwinger Hof wśród morza wojennych ruin.

W zespole pałacowym Zwinger Hof

przedmieściu, zresztą w porządnym mieszkalnym barakach, z których część zajmowana była przez robotników polskich przedsiębiorstw budowlanych, realizujących w mieście jakieś przedsięwzięcia inwestycyjne. Było to powodem niedospania drugiej nocy naszego pobytu przez część uczestników krakowskiej wycieczki. Mianowicie była to sobota i w pobliżu naszych parterowych kwatery odbywały się do późnej nocy solowe i zbiorowe popisy wokalne, „dyskusje” oraz kłótnie polsko-polskie. Pilotka wycieczki interweniowała oczywiście w kierownictwie i straży miasteczka barakowego, ale byli to Niemcy i bali się oni podjęcia próby uspokojenia zapitych sarmatów, żeby nie sprowokować wybuchu patriotyzmu narodowego z ich strony, a być może i wojny polsko-niemieckiej.

Nazajutrz rano, niedospani, po skonsumowaniu śniadania, pojechaliśmy autobusem do śródmieścia Drezna, a stamtąd pociągiem przez Cottbus w kierunku Berlina. Wysiedliśmy w małej miejscowości lotniskowo-wypoczynkowej Wendisch-Rietz, położonej malowniczo wśród lasów i jezior, 60 kilometrów od Berlina. Tu miały być nasze kwatery, na które składała się cała kolonia małych parterowych drewnianych domków campingowych. Należały one do jakiejś młodzieżowej organizacji niemieckiej i noclegi w nich zapewne były bardzo tanie. Do Berlina na całe dni dojeżdżaliśmy szybką elektryczną koleją podmiejską.

W tym największym mieście niemieckim moja rodzina była po raz pierwszy. Na jego zwiedzanie program wycieczki przewidywał trzy dni. Oczywiście dotyczyło to tylko milionowego Berlina Wschodniego, będącego stolicą NRD. Natomiast dwumilionowy Berlin Zachodni był dla nas niedostępny. Na ogół zwiedzanie miasta miało charakter zorganizowany, grupę prowadziła planowo nasza pilotka, korzystaliśmy też częściowo z młodzieżowych przewodników niemieckich, mówiących po polsku. Było także sporo wolnego czasu do dyspozycji wycieczkowiczów. Wtedy ja zamieniałem się w przewodnika, z czym, dysponując planem miasta i znajomością języka niemieckiego, nie miałem większych trudności.

Głównym terenem naszej penetracji było śródmieście, w tym m.in. ulice Unter den Linden, Spandauer, Karola Liebknechta oraz place Aleksandra i Karola Marksa, z licznymi monumentalnymi budowlami, pomnikami itp. Dla nas najbardziej interesującą była wieża TV,



Grzeź przed fontannami w Berlinie

wysokości 361 m, zwieńczona antenami telewizyjnymi i wielką szklaną kulą z restauracjami. W jednej z nich zafundowaliśmy sobie lody, w trakcie konsumpcji których oglądaliśmy, przesuającą się przed nami, panoramę całego Berlina.



Na Unter den Linden

szczególnie moją żonę. W ostatnim dniu pobytu w Berlinie pojechaliśmy autobusem na wojskowy cmentarz-mauzoleum w Parku Treptowskim w południowej części miasta. Mieliśmy wtedy już bagaże ze sobą i wieczorem 4 sierpnia załadowaliśmy się na centralnym dworcu Berlina do ekspresowego pociągu, jadącego do Krakowa i Przemysła.

W drugiej połowie sierpnia 1977 r. Kasia z chłopcami zafundowali sobie kolejne dwutygodniowe wczasy wypoczynkowe i pojechali do Rewala nad Bałtykiem. Rewal to mała wioska na zachód od Kołobrzegu, jest tam kilka pensjonatów wypoczynkowych i kilka kilometrów piaszczystej plaży pod stromym klifowym urwiskiem. Przez cały czas pobytu mej rodziny w Rewalu było względnie pogodnie i słonecznie, to też opalili się wszyscy na Murzynów. Na plaży zabawiali się grą w kometkę i odbywali długie spacery wzdłuż brzegu morza. Pod koniec turnusu zwiedzili sąsiedni Kołobrzeg.



Zwiedzanie Kołobrzegu

W drugiej połowie 1977 r. opracowałem dwa projekty, które dotyczyły dużej strażnicy pożarniczej dla Huty w Ostrowcu Świętokrzyskim i szkoły podstawowej w Brzączowicach koło Dobczyc. Stara, pamiętająca jeszcze czasy XIX wieku, huta żelaza w Ostrowcu Świętokrzyskim była aktualnie modernizowana i poważnie rozbudowywana. Program rozbudowy przewidywał też budowę własnej strażnicy pożarniczej. Zlecenie trafiło do mnie w związku z wcześniejszym zaprojektowaniem przeze mnie strażnicy p.poż. w Hucie „Katowice”, a która oddana już została do użytku. Nowy projekt nie był nadto skomplikowany i po kilku miesiącach inwestor otrzymał gotową kompleksową dokumentację na budowę obiektu.

Temat szkoły w Brzączowicach związany był z budową w rejonie Dobczyc dużego

zbiornika retencyjnego na rzece Rabie. Miał on służyć jako ujęcie wody pitnej dla Krakowa, odległego o około 20 kilometrów. Budowana zapora spiętrzająca podnosiła lustro wody w zbiorniku o kilkanaście metrów, w związku z czym zachodziła konieczność rozbiórek i przeniesienia z terenów zalewowych setki domów mieszkalnych i różnych obiektów użyteczności publicznej. Między innymi dotyczyło to szkoły podstawowej we wsi Brzączowice. Należało po prostu wybudować nową szkołę w wyższej części wsi. Podjęcie się tego tematu przez pracownię zaowocowało kilkoma dalszymi zleceniami, udzielonymi przez Urząd Gminy w Dobczycach, które później wykonywaliśmy. Były to projekty na budowę pola biwakowego i kina w Dobczycach, pawilonu handlowego w Brzączowicach i na modernizację parku miejskiego.

W skali globalnej rok 1977 był względnie spokojny. Miał miejsce pucz wojskowy w Pakistanie, niepokoje i zmiany polityczne w Indiach, krwawe rozprawienie się z opozycją w Ugandzie przez prezydenta Idi Amina. Najbardziej nagłośnie były jednakże rokowania pokojowe pomiędzy Beginem i Sadatem, to jest Izraelem i Egiptem, którym patronował prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter.

Tenże prezydent Carter gościł w grudniu z oficjalną wizytą w Polsce. Natomiast nieco wcześniej przebywał w Polsce również kanclerz Niemiec Helmut Schmidt. Miałem przypadkowo okazję zabezpieczać niemieckiego kanclerza na wiecu w Rynku Głównym w Krakowie. Odkryło się to w bardzo prosty, a skuteczny i bezkosztowy sposób. Mianowicie w trakcie wystąpień na otwartych przestrzeniach ochraniani dostojnicy otaczani byli szerokim, zwartym ludzkim pierścieniem, który tworzyły, wyznaczone przez organizatorów wieców, grupy członków oddziałowych organizacji partyjnych różnych większych zakładów pracy. Ludzie ci oczywiście znali się wzajemnie, a dostawali tylko jedno, konkretne polecenie, by stworzyć bardzo ciasny, zwarty kordon i nie przepuszczać absolutnie nikogo obcego. Służby bezpieczeństwa i porządkowe zabezpieczały trasy przejazdów dostojników, obrzeża zgromadzenia i sąsiednie budynki, a nie musiały martwić się o jądro wiecu.

W grudniu tegoż roku miało też miejsce pewne, nieduże wydarzenie w Krakowie, mianowicie władze miasta podjęły uchwałę o budowie pomnika Stanisława Wyspiańskiego. Niby błaża sprawa, a w Krakowie wywołała wielką dyskusję i spory, głównie wokół lokalizacji pomnika. Początkowo mówiło się o ustawieniu monumentu na Placu Szczepańskim przed Pałacem Sztuki. Ostatecznie usytuowano go z boku placu przedwejściowego do Muzeum Narodowego. Ponieważ stoi on na b. niskim postumencie, na tle szpalery wysokich drzew i odlew jest koloru czarnego, więc praktycznie jest mało zauważalny. Sam pomnik to wyniosła postać wieszczka, otoczonego kilkoma alegorycznymi postaciami z jego utworów.

W 1978 r. urlop znów skonsumowałem w dwu częściach. Pierwszą były dwutygodniowe wczasy w Krynicy w czasie zimowych ferii szkolnych. Pojechaliśmy bowiem, jak zwykle dotąd, wszyscy czworo. Zamieszkaliśmy w jednym bardzo starym pensjonacie orbisowskim, położonym w centrum miasta, nad potokiem Kryniczanką. Byłem już wcześniej w Krynicy w latach 50-tych, lecz od tego czasu uzdrowisko bardzo się rozbudowało i zagaęściło. Przybyło chyba więcej nowych obiektów wypoczynkowych i sanatoryjnych, niż ich było w Krynicy przedwojennej. Mogła by to zilustrować ilość kuracjuszy, których w połowie lat 50-tych było około 30 tysięcy w ciągu roku, zaś w połowie lat 70-tych pięciokrotnie więcej.

W czasie naszego pobytu było mroźnie i śnieżnie, ale równocześnie pogodnie i słonecznie, to też wiele spacerowaliśmy po uzdrowisku. Z przyjemnością wysiadawali-

śmy na ławkach przed muszlą koncertową obok Nowego Domu Zdrojowego i Głównej Pijalni. Zwłaszcza, że regularnie korzystaliśmy z usług pijalni, racząc się wodami mineralnymi, jakie tam serwowano. Zaglądaliśmy także do, co okazalszych, nowych domów



Przed DW „Budowlani”

wypoczynkowych, szczególnie upodabialiśmy sobie DW

„Budowlani”, z jego holami i kawiarnią, ozdobionymi kolorową mozaiką ceramiczną i bogatą zielenią. Nawiasem mówiąc, to w budowie tego obiektu partycypowało również moje biuro, przeznaczając przez kilka lat na inwestycję jakiś procent zysku biura. Dzięki temu nasi pracownicy mieli później ułatwioną możliwość pobytu w sanatorium. Jedna z pań z mojego zespołu projektowego spędzała tam wczasy prawie co roku, ja nie wykorzystywałem tej możliwości ani razu.

W okresie naszego przebywania w Krynicy rozgrywane były jakieś zawody sportowe na torach slalomowym i saneczkowym na Górze Parkowej. Kilka razy przyglądaliśmy się tej imprezie, jak również wiele spacerowaliśmy po alejkach Góry Parkowej.

Rok 1978 był pierwszym, w którym nasi synowie zaczęli jeździć sami na swe własne wycieczki i wczasy. Na przykład Maciek w marcu na 2-3 dni pojechał do Jeleniej Góry w odwiedziny do swej koleżanki, zapoznanej wcześniej na jakichś wczasach. W maju z grupą kilkunastu licealnych kolegów i koleżanek był w Muszynie. Natomiast Grzegorz bawił kilka dni z kolegami w Zakopanem.

W biurze w tym okresie wykonywałem serię drobnych projektów modernizacyjnych, obejmujących osiem istniejących budynków szkolnych na terenie południowego Krakowa, w których Dzielnicowy Zarząd Ekonomiczno-Administracyjny Szkół w Podgórzu planował różne przebudowy i dobudowy. Więc np. w szkole przy ul. Sierankiewicza 1 miała być wygospodarowana w suterenie centralna szatnia uczniowska, przy ul. Ćwikłowej 1 rozbudowana kuchnia, przy ul. Golikówka 52 dobudowana sala gimnastyczna, a przy Krasieńskiego 34 pawilon z basenem pływackim.

W pierwszym rzędzie chodziło o sprawdzenie, czy te propozycje inwestycyjne są możliwe pod względem technicznym i ile będzie kosztować ich realizacja. W tym celu opracowałem odpowiednie architektoniczne koncepcje projektowe i przeprowadziłem niezbędne uzgodnienia w zakresie zasilania budowli w instalacje grzewcze i elektryczne, a z dyrektorami szkół w zakresie funkcji. Koncepcje te były podstawą do decyzji o wprowadzenie poszczególnych obiektów do rocznych planów inwestycyjnych i zlecenia nam przez DZEAS opracowania fazy technicznej dokumentacji na ich realizację. Kilka projektów technicznych wykonałm jeszcze w 1978 roku.

Na drugie dwutygodniowe rodzinne wczasy wypoczynkowe pojechaliśmy w sierpniu do Augustowa na Suwalszczyźnie. Nigdy wcześniej nie byłem w tej części Polski, położonej na północ od Warszawy. A jest to specyficzna kraina jezior i lasów. W szczególności Augustów leży na skraju największej w kraju Puszczy Augustowskiej i sąsiaduje z kilkoma jeziorami. Zaś samo miasto przecina rzeka Netta i Kanał Augustowski, łączący rzeki Biebrzę i Czarną Hańczę, a poprzez nie Wisłę z Niemnem. Ongiś kanał miał duże znaczenie gospodarcze, obecnie liczy się jedynie jako szlak turystyki wodnej.

Sam 20-tysięczny Augustów jest miejscowością turystyczno-uzdrowiskową o znaczeniu ogólnopolskim. Na jego terenie jest kilkadziesiąt różnej wielkości domów wypoczynkowych, hoteli, schronisk, restauracji. My zamieszkaliśmy w ośrodku wypoczynko-

wym, składającym się z mrowia małych drewnianych domków campingowych i jednego większego budynku murowanego, mieszczącego ogólnoużytkowe pomieszczenia, jak jadalnię z kuchniami, świetlicę, pomieszczenia sanitarne i administrację. Wszystko to położone było na leśnej polanie i wśród wielkich strzelistych sosen.



Niestety po kilku dniach pogodnych w Augustowie rozpadały się deszcze, było mgliście, a w naszej „psiej budce” panowała przenikająca wszystko wilgoć. Żartowałem, że do oddychania w tej sytuacji bardziej przydatne byłyby skrzela niż płuca. Jednak nawet w tych niesprzyjających warunkach pogodowych potrafiliśmy interesująco zagospodarować czas swego pobytu w tym uroczym zakątku Polski. Wypożyczyliśmy w administracji ośrodka cztery rowery, i dysponując nieprzemakalnymi pelerynami, odbywaliśmy wielokilometrowe rajdy, zwiedzając bliższe i dalsze okolice Augustowa, w promieniu kilkunastu kilometrów. Szczególnie wygodnie jeździło się prostymi i płaskimi drogami leśnymi, na których bardzo rzadko pokazywały się jakieś samochody. Zwiedzaliśmy jeziora, mostki i śluzy na kanałach oraz wioski na skrajach puszczy.

Na rowerach wokół Augustowa

Jednego dnia pojechaliśmy autobusem do Suwałk, które były stolicą województwa. Miasto to, niewiele większe od Augustowa, prezentowało się bardzo nieciekawie. Zwiedziliśmy w nim właściwie tylko dwa obiekty: jakiś bardzo stary zabytkowy klasztor i dom rodzinny Marii Konopnickiej, zamieniony na muzeum jej pamięci.

Zaplakany pobyt w Augustowie skróciliśmy o dwa dni, przeznaczając je na zwiedzenie Białegostoku i Warszawy. W Białymstoku też nigdy wcześniej nie byłem, więc ciekaw byłem tego miasta, ale na „biegi” po ulicach mieliśmy tylko kilka godzin do odjazdu pociągu do Warszawy. Tym niemniej wystarczyło to, by ocenić, że miasto ma swoistą, ciekawą architekturę i rozbudowywane jest z rozmachem.

W Warszawie zatrzymaliśmy się na dwa dni, nocując w hotelu. Mieliśmy sporo czasu by, w miarę gruntownie, zwiedzić znaczną część nowego Śródmieścia, a także odbudowaną Starówkę. Był to zresztą ostatni wspólny pobyt mej czteroosobowej rodziny w stolicy.



Powakacyjne zwiedzanie stolicy

Po powrocie z wczasów kontynuowałem w biurze prace projektowe związane z modernizacją szeregu szkół i przedszkoli w dzielnicy Podgórze w Krakowie. Rozciągnęły się one na wiele kwartałów. Równolegle opracowałem koncepcję projektową znacznie większego przedsiębiorstwa inwestycyjnego, jakim była Szkoła Chorażych Pożarnictwa przy ul. G. Morcinka na obrzeżu Nowej Huty. Miała ona spełnić dwa podstawowe cele: kształcić kadry dla straży pożarnych oraz stanowić rezerwę operacyjną w zakresie ochrony p.poż. na terenie województw południowej Polski.

Program inwestycji Szkoły Chorażych pomyślany został z wielkim rozmachem. Na działce o powierzchni 11 hektarów miały powstać obiekty dydaktyczne oraz internaty z zapleczem żywieniowym dla 700 kadetów, a ponadto budynki: operacyjny na 14 wozów

bojowych i administracyjny z ambulatorium, warsztaty, dwie sale gimnastyczne, kryta pływalnia, kotłownia i in. Program przewidywał również budowę stadionu sportowego z boiskiem 55x100 m i trybuną na 120 osób, a także zespołu boisk gier małych.

Mimo pewnych uproszczeń, jakie wprowadziłem do programu, postulowanego przez Komendę Główną Straży Pożarnych, obiekty szkoły miały łącznie 150 tys. m³ kubatury i 33.500 m² powierzchni użytkowej. Byłaby to więc inwestycja o 50 % większa kubaturowo od I-go etapu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Łęgu. Bardzo pasjonował mnie ten projekt, bo zawierał w większości obiekty, w projektowaniu jakich się wyspecjalizowałem, jak strażnica pożarnicza, budynek szkolny, internaty, kryty basen kąpielowy, stołówka, kotłownia. Dodatkowo byłby to temat bardzo dogodny do opracowania w pracowni, gdyż poszczególne budynki kubaturowe można byłoby projektować po kolei.

Ponad to od roku nie mieliśmy już natłoku zleceń, więc byłby to po prostu także dobry „kawalek chleba” dla mego zespołu projektowego i pracowni. Ale od początku zlecenie pachniało mi gigantomanią i nie wierzyłem w jego realizację, gdy tu i ówdzie przerywano już rozpoczęte inwestycje. Dlatego koncepcję opracowałem w ograniczonym zakresie, w małej skali i bez angażowania projektantów branż instalacyjnych. A podczas prezentacji koncepcji dostojnym generałom i pułkownikom w Komendzie Głównej Pożarnictwa w Warszawie akcentowałem raczej trudności i koszty inwestycji. Faktycznie ostatecznie na koncepcji się skończyło, a szkoła chorych pozostała na swym dotychczasowym, acz małym i ciasnym, miejscu, to jest w budynku strażnicy pożarniczej na os. C-1, której budowę nadzorowałem w 1952 roku na początku swej nowohuckiej kariery zawodowej.

We wrześniu zmarła moja ciocia Aniela. Chorowała ona około roku i przebywała w tym czasie we Wrocławiu. Leczyła się w jednym z wrocławskich szpitali i w pierw przez kilka tygodni mieszkała u mej siostry Haliny, a następnie u swego brata Henryka. Pochowana została na Cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu. Tak więc z ośmiorga rodzeństwa mojej mamy żyły już tylko trzy osoby: wuj Henryk, ciocia Janka, mieszkająca w Tczewie, i Edek w Anglii.

W dniu 16 października całą Polskę zelektryzowała wiadomość, że Polak, kardynał krakowski Karol Wojtyła, wybrany został papieżem Kościoła rzymsko-katolickiego. Była to rewelacja na skalę światową również z tego względu, że tradycyjnie, od prawie 500 lat, papieżami zostawali tylko biskupi włoscy. Wojtyła przyjął imię Jana Pawła II, kontynuując w ten sposób imiona poprzedniego papieża Jana Pawła I, który zmarł nagle po bardzo krótkim, 35-dniowym, pontyfikacie. Nowy papież jakby chciał podkreślić w ten sposób wolę kontynuowania jego prac, jak również poprzedzającego go nowatorskiego papieża Pawła VI.

Jednak głównymi wydarzeniami w skali całego 1978 roku były wydarzenia, dziejące się w Iranie. Od początku roku trwały tam zamieszki i niepokoje ludności, skierowane przeciwko polityce panującego cesarza Rezy Pahlawi i wspierających go Stanów Zjednoczonych. Zakończyły się one pod koniec roku dymisją rządu i strajkiem generalnym w całym kraju. Zmusiło to szacha do opuszczenia Iranu, do którego wkrótce z emigracji we Francji powrócił, w majestacie władzy, kierujący opozycją ajatollah Chomeini. Drugim, jakby dyżurnym tematem roku, było wszystko to, co działo się na Bliskim Wschodzie, gdzie w wyniku negocjacji w Camp David Izraelczycy ewakuowali półwysep Synaj, zwracając go Egipcjom. Ponad to trwały jeszcze wojny w południowym Libanie i w Zairze. W Kosmosie najważniejszym wydarzeniem, przynajmniej z polskiego punktu widzenia, był kilkudniowy lot majora Mirosława Hermaszewskiego na stacji orbitalnej „Sałut 6 - Sojuz 29”.